
ROZRYWKI DLA DZIECI.

Ner LII. 1 KWIETNIA 1828.

I.

WSPOMNIENIA NARODOWE.

KOLEIE ŻYCIA.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

W iednym z zamków obronnych do maig-
tućyszéy należących szlachty, które sterczały nie-
gdyś w okolicach Przemyśla, mieszkali Małacho-
wscy. Mąż, żona i syn iedyny, składali tę małą w
liczbie, lecz zamożną w szczęście, w znaczenie i
w cuoty rodzinę. — Małachowski żadnego nie pia-
stował urzędu, ale siła zbroyna, którą utrzymy-
wał, pośpiech, z jakim miósł pomoc będącym
w potrzebie, waleczność i męztwo tyle razy do-
świadczone, brama zamku iego dotąd dzielnie
przed nieprzyjacielem kraiu zamknięta, dla przy-

iaciół, rodaków, włościan i nieszczęśliwych zarówno z sercem otwarta, zjednały mu dobre imie, wziętość, szacunek powszechny i miłość poddanych. — Do pozyskania i utrzymania tych drogich skarbów, do zapewnienia słodszy nad wszystko pomyślności domowey, niemało się przyczyniała młoda jeszcze Małachowskiego żona. Całym wdziękiem płci swoihey świetna, więcey jeszcze cnoty iey przyzwoitemi iaśniała. Świat w swym domu widząc, prawie nigdy za progi iego nie wyszła; oddana gospodarstwu, czuwała troskliwie, aby nie marniały dawne dochody, aby nowych przybywało; często pierwsza w zamku całym zrywała się rano z miękkiey pościeli, chcąc doyrzec liczney czeladki i pracować z nią wspólnie; często przędąc przy świetle wielkiego ogniska w długie wieczory zimowe, wyprzedzała naybiegléysze prządki; a pochwała męża, sposobność wspierania potrzebnych, dobry byt otaczających ją, miłość domowych i względy licznych gości, były dla niéy zupełną codziennych i nieustannych trudów nagrodą. I syn ich iedyny Janek ośmioletni, już umiał serca wabić i szczęścia przysparzać. Wprawdzie nie było w nim ducha rycerskiego oycy;

ale każdy upatrywał słodycz i łagodność matki, ięć smak w pracy; każdy uwielbiał posłuszeństwo dziecięcia dla rodziców i starszych, iego rozsądek i tkliwą serca dobroć; każdy go kochał, a oyciec i matka nad własne ceniąc go życie, w nim wieniec swego szczęścia widzieli.

Lecz któż to, gdzie i kiedy, doznał w szczęściu stałości? Nikt, nigdy i nigdzie, zwłaszcza téż Polak mieszkający w ruskiéy ziemi, w piérwszém połowie szesnastego wieku. — Panował wtenczas Zygmunt III, który słabością i uporem, temi wadami sprzeczném i na pozór, a iednak często zgodném z sobą, tyle przyszłych nieszczęść gotował Polsce, tylu obecnych stał się przyczyną. — Kiedy upadać zaczynająca oyczyna, zewsząd zagrożona, bez woyska i dostatecznéy była obrony, on zbyteczną gorliwością przeięty, potężnym Cesarzom kwiat polskiéy młodzieży posyłał; a tak niewczesnemi posiłkami nietylko kray własny mężnych pozbawiał obrońców, ale ieszcze nowych wzbu-
dzał mu nieprzyaciół. (1) Między niemi piér-

(1) W owym czasie Zygmunt III dał Cesarzowi Ferdynandowi II posiłki z 8000 Kozaków Lisowczyków, tak od Rotmistrza swego Lisowskiego nazwanych. Ci Lisow-

wsze i nayokropniéysze trzymała miéysce sroga dzicz tatarska, ta od lat tylu powódź krwa-
wa, śmierć i pustoszenie nieszczęsnéy Polsce
niosąca. Oni to pomimo zawartego niedawno
Chocimskiego pokoju, przy zwłokach wielkie-
go Chodkiewicza, naieźdzali polskie ziemie, a
szczególniéy bliższą nich Ruś czerwoną. Tam
niszczyli i palili wszystko, zabijając mieszkań-
ców lub biorąc ich w ciężką i wieczną niewo-
lę. Ci, którzy miecza albo kaydan uysć zdo-
łali, nieśli swe skargi przed tron królewski;
ale Zygmunt słuchał ich obojętnie; ruska zie-
mia do unii (2) przystąpić nie chciała; miecz
tatarski zdawał mu się być mieczem Bożym.

czykowie, ze saméy szlachty polskiéy pod różnemi do-
wódzcami, dzielnie się w Węgrzech, na Szląsku i Czechach
popisywali, i niemałe zwycięztwa cesarskiemu woysku od-
nosić ułatwili. Te zwycięztwa przeszkody stawiając Be-
tlemowi Gaborowi Xięciu Siedmiogrodzkiemu w iego za-
mysłach, powodem się stały, że Turków i Tatarów nien-
stannie przeciwko Polsce poduszczał. *Historja Polska X.*
Wagi, k. 243.

(2) Wiadomo z dzieiów ówczesnych, z iaką gorliwo-
ścią Zygmunt III pracował nad unią kościoła greckiego
z rzymskim, ile ta gorliwość krwi kosztowała, i iak się
przyczyniła do podkopania budowy całego Królestwa, za-
szczepiając stronnictwo i nienawiść między możnemi ro-
dzinami, zmuszając prześladowanych od własnego Króla
do szukania wsparcia i opieki u obcych.

Rok 1623 nayokropniéyszym był dla téy krajiny; wpadli Tatarzy nagle w niezwyčajnyéy liczbie, rabuiąc, paląc, pustosząc wszystko. Uciekał lud strwożony iak tżoda spłoszonych owiec, a potężny i okrutny nieprzyjaciel dopiero w okolicach Przemyśla, w zamkach warownych szlachty, piérwszy znalazł odpór. Lecz i ten nie mógł bydz długim i skutecznym. Cóż podoła odwaga kilku przeciw krociom sile? I mężny Małachowski w grodzie swoim, pomimo bohatérskiego męztwa i stałości umysłu, zaledwie dzień ieden opierać się zdołał. Już prawie wszyscy iego żołnierze, śmierć ciskaiaćcy z wałów zamku na otaczaiących go, sami śmierć ponieśli; już w środku ciemnéy nocy podpalone bramy podwoie wnet runąć miały, otworzyć weyście zemsty i krwi chciwym najeźdźnikom, a on ieszcze uchodzić z domu swych oyców nie chciał, z tego domu, gdzie lat tyle był panem, dokąd tyle razy powracał zwyciężcą! Siadł na krześle w izbie, w któręy zwykle wydawał rozkazy, wsparł głowę na ręce i zdawało się, że żadna moc ludzka z tego miéysca go nie poruszy. — Na próżno klęcząca przed nim żona, wieśniaczym ubiorem odziana, kilku

sług starych i włościan, zaklinali go, aby korzystał coprędzcy z poświęcenia się celniętych poddanych swoich, a w ich szaty przebrany, uszedł wraz z niemi tajemnym wyjściem zamkowym, i pozwolił się zaprowadzić do Przemyskiej cerkwi; nie ulegał bynajmnię ich prośbom, sądzić nawet było można, że ich nie słyszy. Wtedy nieszczęsna żona syna przed oczy jego stawiała. »Oycze bez litości! rzekła, chcesz, aby to niewinne dziecko łupem ich się stało? chcesz, aby od wyznania prawego Boga odbiegło, ażeby życie ledwie zaczęte w niewoli spędziło.« Na ten widok, na te słowa, powstał Małachowski; w iednym mgnieniu oka strój rycerski okrył grubą siermięgą, na mężne czoło czapkę kmiecią nasunął, a porywając syna na dzielne barki, iedną rękę podał żonie, drugą szablę uchwycił, i tak poszedł w milczeniu za idącą przed nim czeladką. Jednak w ciągu drogi, słaba i drżąca małżonka, ciągnąc go nie raz z całych sił musiała, zachęcać przyszłych zwycięstw nadzieią; tak nie nawykły był do ucieczki, ani krok ani umysł iego; taką miał ochotę wracać do zamku, skoro głosy i krzyki radosne tryumfujących nieprzyjaciół

uszków iego dochodziły... Nareszcie doszli szczęśliwie do murów Przemyśla, a dzięki ciemności nocy, przemysłowi i wierności przewodników, weszli do świątyni. — Ogołoconą była z ozdób i ludzi; ale wnet napełniły ją uciekające z poblizszych ulic różnego stanu i wieku osoby ze skarby swemi; rozeszła się bowiem wieść straszliwa, że wszystkie zamki przedmury miejskie stanowiące, zdobyte zostały; że może téj saméj ieszcze nocy nieprzyjaciel na miasto uderzy. — Małachowski na widok nowych niebezpieczeństw, obudzonego czuiąc w sobie ducha, obrał się wodzeni strwożonéj rzeszy zgromadzonéj w świątyni; w niéj do ostatniego bronić się umyślił; a gdy już napełniła się zupełnie, zawarł mocno drzwi, za wielki ołtarz ukrył żonę, syna, ile się zmieścić mogło niewiast, starców i dzieci; sam zaś z kilkunastą zbroynemi stanął na stopniach, na wszystko baczne mając oko, głębokie nakazując milczenie: ażeby i słyszyć co się działo i nie przyciągnąć nieprzyjaciela. Nie łatwo było utulić krzyk tylu dzieci, płacz tylu niewiast, ięk i narzekania tylu strwożonych; ale przecież następowała właśnie chwila zupełnéj cichości,

kiedy przerwały ją nagle tentent i rżenie koni, szczęk zbroi, krzyki, i odgłos okropny nieprzeliczonych siekier i toporów, we drzwi kościelne z olbrzymią siłą biiących. Ten sam oddział Tatarów, który zamku Małachowskiego dobył, w najsroźszym gniewie iż nie zastał wodza, ze zhańbienia którego miłą obiecywał sobie igraszkę, odkrywszy niewątpliwe jego ucieczki poszlaki, ruszył pędem do cerkwi Przemyskiej. Wnet runęły z okropnym łoskotem ciężkie drzwi świątyni i powaliły będących przy nich blisko; zwycięzcy uradowani tym pierwszym szczeblem swego pochodu, wstąpili hurmem na leżące podwoje, miecze i rozpalone trzymając kagańce; a za ich pomocą torując sobie drogę przez środek kościoła, dążyli ku wielkiemu ołtarzowi, domyślając się, iż tam zastaną Małachowskiego. Po stósach zemdlonych i rannych, zabitych, i konających, wśród ięków bólu, rozpacz i trwogi, sami tylko radości piekielnéj wydając okrzyki, doszli do celu swego. — Tu dopiero wszczął się bój zacięty; Małachowski i wszyscy jego, zdawało się, że nadludzką siłą wzmożeni, tak srogiem zadawali ciosy, tak dzielnie przystępu bronili; ale nareszcie jeden ze star-

szych tatarskich, boleśnie przez bohatera skaleczony, z całą wściekłością nienawiści, zemsty i bólu, doparł go, uchwycił za ramię iedną ręką, a drugą chciał mu już cios zadać śmiertelny... W tém wśród t y wrzawy, tego ięku, tych krzyków, cały podobnego widowiska okropności, daie się słyszeć głos wielki, głos potężny, głos naczelnego wszystkich Tatarów wodza, wspaniałego niekiedy Giereia: »Zaprzestańcie mordów, woła, bo śmierć was czeka! Gdzie tu Małachowski? iego ocalić!“ — Na pierwsze to wołanie, Tatarzyn trzymający walecznego Polaka, wstrzymał raz swój zabójczy, ale posłyszawszy dalsze, nie chcąc by uszła zemsty iego ofiara, uderzył! i gdy przybiegł Gierey do wielkiego ołtarza, już Małachowski w samo serce ugodzony, leżał bez duszy; już nie słyszał tkań i krzyków wybiegłéy z za ołtarza żony, nie widział płaczącego syna, a zabójca iego skrył się w natłoku. Wódz naczelny, który posłyszawszy o nadzwyczajnych cnotach Małachowskiego, z umysłu śpiesznie do Przemyśla przybył, ażeby życie iego ocalić, widząc go zabitym, wpadł w wściekłość na ten oddział żołnierzy swoich, i będącym przy boku swoim

katować ich kazał. Nowe ieszczce powstało w świątyni zamieszanie, nowa okropność i wrzawa. Przy niepewném świetle kagańców, trudno było rozpoznać Tatarów od mieszkaućców Prze- myśla; każdy się bronił, każdy zabijał, każdy nadewszystko chciał uysć z kościoła, i eo mógł unosił; synowie brali ciała poległych oyców, mężowie nieśli zemdłałe żony, matki porywały dzieci. — Dway pozostali wierni słudzy Małachowskiego, widząc go bez duszy, choć z żalem zostawili ciało iego, a wzięwszy zemdłałą żonę i syna, wynieśli ie ze świątyni. Chcieli przez boczne ulice zanieść ie pod iaką ubogą strzechę, tam potrzebnego udzielić ratunku, a nazaiutrz do wspaniałości odwołać się Giereia. Lecz w ciągu ich drogi napadł ich liczny poczet nieprzyjaciół; na próżno usta ich wymówić chciały na obronę imię Małachowskiego, oszczepy zabójcze przerwały im mowę, polegli, drogo przedaiąc swe życie....

W lat trzydzieści po tym okropnym Tatarów napadzie, po téj krwawéy powodzi, która aż bramy Lwowa zbroczyła, za panowania Jana Kazimierza, owego Monarchy, któremuby

Króla męczennika i proroka dać można przydomek, Biskup czyli Władyka Przemyski, w licznym duchownych i dworzan orszaku, wracał do pałacu swego po uroczystém nabożeństwie w cerkwi odprawioném. Modlił on się gorąco iak zawsze w tém miejscu zwykł był czynić za dusze rodziców, których w dzieciństwie będąc wieku utracił, lecz których dotąd zgon okropny pamiętał. Niedawno zasiadł stolicę przemyską, bo téż prawie w młodym ieszcze był wieku; powołanym został do téy godności odgłosem powszechnego szacunku; miły, łagodny, światły, prawdziwie pobożny i dobroczynny, godzien był tak wysokiego urzędu. — Wchodząc we drzwi pałacu swego, postrzegł opartą o ścianę dziwnéy postaci, w szczególnéy odzieży kobietę; głowa iéy okryta była zawoim, a z pod niego śnieżne wymykały się włosy; twarz może niegdyś piękną zorało nieszczęście, nędza szcerniła; obcego narodu podarta i wypełzła katanka, wisiała na ciele tak osłabioném, że wyglądać tylko należało chwili kiedy opuści ie dusza. »Miłosierdzia! miłosierdzia!» te iedynie słowa z wielką trudnością zsiniałe iéy usta wyrzec potrafi-

ły i padła bez czucia. — Biskup litością przeięty, kazał natychmiast służącym i dworzanom wziąć nieszczęśliwą, wszelkie dać iéy wygody, nadwornego przywołać lekarza. Dwa dni niewiasta bez żadnéy była przytomności, lubo czucie wnet wróciło; ale trzeciego odzyskała zupełnie zmysły i mowę, tylko bez sił żadnych; i lekarz osądził sam w sobie, że ten powrót przytomności umysłu był znakiem rychléy śmierci; owém iakby pożegnaniem duszy, które zwykle przed ostateczném opuszczeniem ciała następuje. — Oświadczył to dopytującemu się codziennie o nieszczęśliwą Biskupowi, i ten powiedział: że sam ją chce przyposobić do śmierci. »Bóg przeznaczył iéy oczywiście, rzekł, dom mój na ostatnią w tém życiu gospodę; muszę więc sam ją opatrzyć w daleką podróż, w którą się wybiera.» I poszedł natychmiast do umieraiący, rozkazując ażeby ich zostawiono samych. — Przeięta taką dobrocią i łaskawością niewiasta dziękować mu chciała, uniżać się przed nim, ale on powiedział: »Obowiązkiem to jest moim; byłżebym sługą tego Boga, któremu żywot poświęciłem, gdyby kto wzywał na próżno miłosier-

dzia mego.” — »Ach! Panie! zawołała umierająca, iakaż to dobroć wasza! iaki głos i mowa miła! iakże dawno uszy moje nic podobnego nie słyszały. O Boże! iakież miłosierdzie twoie, że mi pozwalasz na łonie chwalących ciebie umierać!” I tu krople łez potoczyły się na bladych iéy licach, złożyła wychudłe ręce i modliła się cicho. — »Któż iesteś? i gdzie byłeś dotąd?” spytał iéy się zdziwiony Biskup. — »Nie jestem, a przynajmniéy niegdyś nie byłam, czém się dziś bydź здаię; wyrzekła. Wiosna dni moich spłynęła w szczęściu, bogactwie, wolności; byłam panią, byłam żoną, byłam matką... lecz dalsze lata zagarnęło sieroctwo, nędza i niewola.... Oto właśnie trzydzieści lat temu, w tém mieście Przemyślu, w cerkwi, poległ mąż mój!.. »Jak się zwał mąż twój?” przerwał iéy z pośpiechem Biskup. »Cóż pomoże, choć powiem imie iego; iuż nie raz ie mówiłam od czasu iak na ruską wstąpiłam ziemię, a nikt wierzyć mi nie chce!” — »Mów tylko spiesznie!” powiedział Biskup. — »Małachowski” wyrzekła. — »Wielki Boże! zawołał kapłan, a syna czy miałaś?” — »Miałam iedynaka; i on przeniósł się do wieczności; widzia-

łam go nie raz we śnie między aniołami; Janek mój miły! Janek mój iedyny!” — „On żyje! krzyknął Biskup; on ręce drugiéy swéy matki całuje!” A to mówiąc uchwycił złożone ieszcze ręce niewiasty, przyciskał ie do ust i oblewał łzami. — „Czy to ieszcze ieden z tych snów błogich, któremi Bóg w niewoli mnie cieszył? czyli téż iuż umarłam i w niebie iestem? mówiła przerywanym głosem niewiasta; na tę ziemię, to szczęścia za nadto! Jabym ieszcze miała syna?” — „Tak iest, bez wątpienia, odpowiedział Biskup; iam syn twój, ty matką moją! I ten dobry i wszechmocny Bóg, który cię tu tak cudownie przyprowadził, i mnie równieź cudownie zachował, udzielić ci raczy zdrowia i życia, abys ieszcze na téy ziemi szczęścia używała.“

I tak się stało; nie zawiódł Bóg ufaiącego w nim sługę swego, nagrodił długie pobożnéy niewiasty cierpienia. — Biskup przemyski był owym Jankiem, ośmioletnim Małachowskich synem. Tatarzy nie widząc go może w ciemnościach nocy, lub téż mając za umarłego, ile że krwią zboczony, był bez zmysłów, zostawili go w owéy bocznęy ulicy, unosząc tylko

matkę ięgo zemdłoną. Znaleźli go tam naziutcz włościanie oycą, którzy i ciała pana uczciwy pogrzeb sprawili; za ich staraniem dostał się wnet sierota do krewnych swoich; przez nich wychowany starannie, doszedłszy do lat młodzieńczych, obrał sobie stan duchowny; a przez cnoty i światło doszedł do biskupięy godności. Bez zmysłów wtedy gdy matkę porwano, wraz ze wszystkiemi sądził że nie żyje, i pomnik ięy nawet wspaniały obok grobu oycą wystawił. Ją zaś Tatarzy uprowadzili aż do naydalszych siedzib swoich; ztamtąd pomimo nayusilnięszych starań wydobyć się nie mogąc, przez lat trzydzieści, żyła w ciężkię niewoli. Nie nawykła jednak do nięy, bo któż do pętów nawyknie; i choć już blisko sześćdziesiąt lat liczyła, gdy ięy się trafiła nareszcie pomyslna do ucieczki pora, użyła ięy; a mil tyle piechotą, sama, w tym wieku uszedłszy, nic dziwnego, że ięy sił nie starczyło, gdy zaszła do miasta, gdy się uyrzała w mięyscu, gdzie tak odmienną ludzie ją znali. — Ale radość wielka i niespodziana wróciła ięy siły i życie; w niedługim czasie przysła do zupełnego zdrowia. — Jeszcze przez lat dwadzieścia i kilka

cieszył się nią syn ukochany; dom jego stał się dla niej ostatnią i miłą gospodą; otoczona tkliwemi staraniami iedynaka, uwielbieniem powszechném, byłaby może i zapomniała długich lat niewoli, gdyby częste opowiadanie nie było wznawiało ich pamięci. — Jan Małachowski zaś, naprzód Biskup Przemycki, a późniéj Chełmiński, dla wiecznéj pamięci, dla uwielbienia dróg opatrności i przedstawienia odmiennych życia kolei, w xiedze żywotów świętych Piotra Skargi, opisał na okładkach tę całą rodziców i swoię przygodę; a kiedy w późnéj starości kończył cnotliwe życie na łożu, będąc śmiertelném i czuiąc, że chwila skonania już bliska, kazał sobie tę xieęgę pod głowę położyć, i tak ufny w miłosierdziu Boga, oddał mu ducha.

II.

DOBRE SERCE STASIA.

Komedyka. (3)

Osoby.

Pani wsi.

Wóyt gminy.

Małgorzata, uboga wdowa.

Staś,

Anka,

Kazio,

Józio,

Rózia,

Jaś,

} iéy dzieci.

Scena na wsi przed chatą Małgorzaty.

SCENA I

Wszystkie dzieci Małgorzaty.

(Staś plecie koszyki, Anka przędzie, Kazio struże patyczki, Józio z dwóch kłębków zwija

(3) Już nie raz słyszałam żałujących się, że niema prawie komedyi w polskim ięzyku dla dzieci, i że dla tego zmuszone są grywać francuzkie. Gotowa zapobiegać ile możliwości moiéy podobnym niedostatkom, umyśliłam kłaśdź tu ciągle przez czas iakiś w miéyscu *powieści* komedye, bądź oryginalne bądź naśladowane. Dzisiéyszéy myśl wzięta iest z Berkina.

na ieden nici, Rózia z Jasiem kwiatkami i piaskiem się bawią).

Staś po chwili milczenia.

O Boże! Matki nie widać, już tak dawno poszła. Może iéy żadna sąsiadka, ani kuma, chleba pożyczyć nie chce. Jaka téż to wielka u nas biéda!

A n k a.

Oy prawda! od samego wstania niceśiny w ustach nie mieli; mnie aż w żołądku się zwiia, tak mi się bardzo ieść chce.

Inne dzieci.

I nam to samo tak bardzo ieść się chce.

(Tu Rózia i Jaś zaczynaią płakać).

S t a ś obracaiąc się ku nim.

Moie dzieci, nie płaczcie, utulcie się; może Bóg da, że Matka chleba przyniesie; a choćby nie przyniesła, nie mówcież przy niéy że wam się ieść chce; ona już i tak dosyć nieszczęśliwa!

A n k a.

Zapewne; od tego czasu iak Oyciec umarł, Matka prawie zawsze płacze. Żal iéy Oyca! taki był dobry. A na iego chorobę i pogrzeb wszystkie piéniądze wydała. I krowa poszła. O! nie trzeba iéy więcéy zasmucać.

K a z i o.

Choć mi się tak bardzo chce iść, że doprawdy nie wiem czy wytrzymam, nic iéy nie powiem.

J a ś i J ó z i o.

I my to samo.

S t a ś.

Dobrze, moje dzieci, nic a nic nie mówmy. Zobaczycie że ten Bóg dobry, który, iak matka mówi, o ptaszętach nie zapomina, i o nas pamiętać będzie. Chłopak Wóytya obiecał dać mi trochę kartofli, iak mu ten koszyk uplotę; będę się śpieszył, skończę przed wieczorem. Czemuż ia ieszczę nie taki duży iak był nasz Oyciec? poszedłbym do młocki albo do kosi, zarobiłbym ze dwa złote! mielibyśmy co iść na dni kilka.

A n k a.

A iaka szkoda, że ia nie większa! poszłabym do żniwa, i za wszystkie pieniądze nakupiłabym mąki, kaszy, grochu, słoniny i chleba...

Małe dzieci prawie z płaczem.

Oy chleba, chleba!

S t a ś.

Utulcie się dzieci, i bądźcie cicho. Widzę Matkę. Już idzie.

SCENA II.

Ciż sami i Małgorzata.

(wszystkie dzieci biegną ku niéy wołając):

Matka! Matka!

Małgorzata rozkładając fartuch.

Moie dzieci! obieǳłam wieś całą, odniosłam przęǳę Franasce, ale taka wszęǳie bięda, żem omale dla was iedzenia dostała. Na wam! obchodźcie się tém iak możecie. (*Dzieli na sześć części chleb, który przyniosła w fartuchu*). Nie po wielkim kawałku wam się dostanie, ale przynaymniéy aby dziś nie pomrzecie z głodu. O jutrze Bóg dobry pomyśli!... (*Rozdaie chleb zacząwszy od naymniéyszych*). Ty, Stasiu naydłużéy czekałeś, masz za to część naywiększą; boś téż ty i naystarszy i naylepszy. Wykapany nieboszczyk Oyciec.

S t a ś (z przymusem obracając w ręku koszyk).

Dziękuię ci Matko, ia ieść nie mogę... zięǳ sama ten kawałek chleba, albo day go małým dzieciom... ia ieść nie mogę.

Małgorzata przełękniona.

Wielki Boże! cóż ci się stało? tyś zawsze równie bywał gracki i do roboty i do iadła. Czyś chory?

S t a ś.

O tak... iestem chory, bardzo chory.

M a ł g o r z a t a.

Maszże tobie! tego mi tylko brakowało. I cóż ci iest? Powiedz prędko co cię boli? czy głowa?

S t a ś.

Tak, głowa.

M a ł g o r z a t a (*biorąc go za głowę i ręce*).

Gorące... pewno iakich złych krost dostanie. Idź do chaty, Stasiénku, połóż się na moiém łóżku. Jak się prześpisz, to może da Bóg, że to minie.

S t a ś.

Jabym wolał tu zostać.

M a ł g o r z a t a.

No! to się połóż na téy ławce. Anko przyńieś bratu poduszkę. (*Anka idzie do chaty; za iéy powrotem, Staś się kładzie*). A ty Kaziu, póydz do pańskiego ogrodnika; proś żeby pozwolił narwać liści orzechowych w sadzie; przyńieś mi ich dobrą płachtę; obłóż mu głowę, to czasem pomaga.

K a z i o.

Dobrze, Matko, póyde zaraz. (*wychodzi*).

Małgorzata.

Wy małe dzieci, bądźcie cicho, może Staś uśnie; a ty Józiu, siądź przy braciszku i z mucho oganiay, żeby mu do spania nie przeszkadzały. (*Biorąc Ankę na bok*). Czy narzekał na głowę iak mnie nie było?

A n k a.

Nie, Matko, nic o tém nie mówił.

Małgorzata.

Dziwna rzecz, z kąd mu tak nagle przyszło? Dziś rano zdrów był zupełnie. A to najgorsze te nagłe choroby... O Boże! że téż tu we wsi, ani Państwa, ani lekarza nie masz!.. Ale pobiegnę do Mikołayki, ona iuż nie dzisiéysza; zna różne zioła i ich skutki; może co dobrego memu Stasiénkowi narai. (*Chce wychodzić, Wóyt ją spotyka*).

SCENA III.

Ciż sami, Wóyt.

W ó y t.

No! Małgorzato! czyście wy oszaleli! Zapomnieliście widzę ze szcęgtem, żeście ieszcze za nieboszczyka męża 13 złotych czynszu winni? kopę iaj i cztery kapłony. Ba! i dai kilkanaście macie do odrobienia we dworze. Przysię

gam Bogu, że z wami, to czyscowe męki.—
Ledwie głowa nie pęka, tyle winni w każdéy
chacie; a parę bótów zedrzeć trzeba, nim się
trzy grosze odbierze. Przekłéta robota!

Małgorzata (*ściskając go za nogi*).

O mój Panie Wóycie! zlitujcież się nade-
mną! Z kąd ja wezmę tych pieniędzy, téy da-
niny? iak ia te dni odrobię? krowa, wieprzak,
gęsi, kaczki, wszystko poszło, i iednéy kury
nie mam. Żyję miłosierdziem Bożém; ledwie
po ciężkiéy w dzień i w nocy pracy, mam bo-
chenek chleba dla sześciorga dzieci.

W ó y t.

Co mi do tego. Ja swoiéy służby patrzeć
muszę. Jak nie zapłacisz, babo, widzisz ten
bat, plecy odpowiedzą.

M a ł g o r z a t a.

Wielki Boże! i cóż ia pocznę? Choćbym
dni odrobić z duszy rada, nie mogę tego dro-
biazgu odstąpić... Oto właśnie najstarszy syn
mi zapadł... Wszystko się na mnie zważyło!..
Oy! prawda, że siérotom i wdowie, życie cięż-
sze iak kamień! (*placze*).

W ó y t.

Jużcié ia choć na tym wysokim urzędzie,
przecież mam serce, i żal mi was biédaków

Ale proszę iak tu zrobić, żeby i wilk był syty i owca cała? Salomonem bydzby trzeba. Wiem ci ia że kobiécisko nic nie ma, ale Dwór pierwszy, Dwór zaspokoiony bydz musi, bądz co bądz. Idzie mi téż i o moię sławę, o łaskawe oko pańskie. Chciałbym żeby Jaśnie Wielmożny Pan wszystko porządnie zastał: rachunki skończone i dokładne, worek pełny; a tu wieś cała dłużna... Już posłaniec przyiechał, że Państwo lada moment tu przybędą.

M a ł g o r z a t a z radością.

Co doprawdy? czy oboie? przyiedzie tu i nasza młoda Pani? O! możeć się nademną zlituie!

W ó y t.

Tak, tak. Nasz Pan ożenił się niedawno w Warszawie, objeżdza z żoną swoją a Panią naszą, wszystkie dobra, chcąc sobie którą wieś na mieszkanie obrać.

M a ł g o r z a t a.

Oy! żebyć sobie upodobali wieś naszą! Małoć znam naszego Pana, ale mówią o nim ludzie, że sprawiedliwy. A wreszcie i nam włościanom zaraz lepiéy, kiedy Państwo we dworze mieszkają. Zdaie się każdemu, iakby ro-

dzonych miał jeszcze. Czy w biédzie, czy w chorobie, iest do kogo się udać!.. Możeby nasza Pani i memu Stasiénkowi co poradziła?.. Ci Państwo to choć młodzi, to więcéy umieją od nas starych prostaków....

(Tu słychać trzaskanie z bicia).

W ó y t.

Co słyszę? pewno Państwo iadą. Nie bąta-
muć mnie próżnemi słowami. Jużcié przecie
mujesz mieć choć kilka złotych; bo wy to za-
wsze piszczycie, choćbyście pełną kiesę mieli.
Daway babo zaraz, bo inaczéy....

(podnosi bat).

M a ł g o r z a t a.

Kiedý wam na Boga przysięgam, że nie mam
grosza przy duszy. Opiszcie moią nędzę Panu....

W ó y t.

Zapewne.... To ia Panu z mego urzędu za-
miast rachunków przyzwoitych, będę podawał
takie androny... On tam wiele dba o twoią nę-
dżę... Day zaraz piéniędzy.

M a ł g o r z a t a.

Daycie iuż pokóy, Panie Wóycie. Ja sama
póydę do dworu, i skoro Pani przyiedzie, skło-
nię iéy się do nóg, i będę prosiła o miłosier-

dzie. Zobaczycie że wskóram; prawie zawsze Panowie od sług lepsi.

W ó y t.

To idźże babo i gaday sama; ale mi się nie waź słówka na mnie pisać; wszakżem ci się nie tchnął, a mogłem.... *(na stronie)* i będę mógł iak z Bogiem poiać. *(wychodzi)*.

SCENA IV.

Ciż sami, prócz Wóyta.

M a ł g o r z a t a.

Chociaż Wóyt grozi, przecież mi lżej na sercu. Kiedy Państwo tu przyiechali, możeć iak im padnę do nóg, zlituią się nademną. Może mi i cały dług daruią. Mój Boże! dla nich by to małą było rzeczą, a dla mnie tak wielkiem szczęściem! Biegnę do dworu. Anko! dayno mi fartuch czerwony. *(kładzie go na szyję)*. Żeby tylko mój Stasiénko był zdrów! *(Zbliża się do niego i przygląda mu się)*. Spi, moja iagódka, spi spokojnie; iakoby kwiateczek wygląda, może mu téż nic nie będzie. Anko, nie waź mi się ztąd odchodzić, pilnuj małych dzieci... Podziel między nich iego kawałek chleba.

A n k a.

Dobrze, Matko.

SCENA V.

Staś *spiący*, Anka, Józio, Jaś, Różia.

(Anka bierze chleb Stasia, kraie go, i dzieli między troje małych dzieci, mówiąc: *Na wam! iédzcie*. Dzieci biorą i iedzą chciwie. W tém Staś otwiera oczy, podnosi głowę, i z radością na ten widok spogląda).

A n k a.

Obudziłeś się bracie! możebyś teraz ziadł kawałek chleba?

J ó z i o (*odéymuiąc swój chleb od ust*).

Naci, Stasiu iédz, ia już bardzo wiele iadłem.

S t a ś.

Dziękuję wam, ieszcze iedź nie mogę, ale mi już daleko lepiéy... o daleko lepiéy... Czy Matka nie wróciła od Mikołayki?

A n k a.

Toś ty spał na dobre, i nic nie słyszałeś. Wystaw sobie, Państwo nasi oboie przyiechali. Był tu Wóyt, chciał koniecznie piéniędzy, batem Matce odgrażał. Matka znowu płakała.

Teraz poszła do dworu, prosić młodey Pani, żeby się nad nami zmiłowała.

S t a ś.

O! zapewne się zmiłuje. Ja bym przynajmniéy tak zrobił, gdybym był Panem.

A n k a.

O i ia to samo. A wiecie cobym zrobiła gdybym była Panią? otobym i wam i sobie śliczne na iarmarku pokupowała wstążeczki, paciorki... iadłabym codzień kluski ze słoniną; a Matce tylebym dała pieniędzy...

SCENA VI.

Ciż sami, Kazio (*wpadając z hałasem*).

Słuchaycie! słuchaycie! Państwo przyiechali. Widziałem ich w takim prześlicznym domu na kołach, w karecie. Cztery konie skarogniade były u niéy, a kozioł iak pokryty! oto iakby naysutszą kapą. Pan i Pani siedzieli sobie w karecie, iak gdyby w iakiéy kapliczce, bardzo pięknie ubrani. Ale ci co stali za karetą, to ieszcze piękniéy wyglądali. Takie mieli koło rąk i koło szyi złociste szérokie wstęgi. Ja myślałem że to także Panowie, a to lokaje.

A n k a.

I gdzieżeś widział te wszystkie śliczności.

K a z i o.

Oto tak. Jakem ztąd wyszedł, spotkałem Sobka i Pietraszkowéy chłopaka; ci mi powiedzieli, że im ekonomski syn mówił, że Państwo wnet gościńcem przyjadą; wybiegliśmy na drogę, i z rowu widziałem wszystko; dałem potem susa przez płot i piérwéy od karety byłem na dworskim podwórku. Widziałem iak zaiechali, iak wysiedli; Ekonom tak się kłaniał, i Wóyt, i Włódarz i Karbowy. Pani śliczna i młodziusienka; chłopstwa było dosyć; ale spostrzegłem Matkę i tu przybiegłem.

A n k a.

A liści orzechowych dla Stasia przyniosłeś?

K a z i o.

Na śmierć zapomniałem, ale teraz biegnę.

A n k a.

Biegnijże co tchu i wracaj, bo Matka gniewać się będzie. (*Kazio wychodzi*). Gdyby mi Matka nie była przykazała siedzieć tu, tobym i ia do dworu pobiegła. Ja ieszcze nie znam karety; ia i Panów tylko raz na odpuscie z daleka widziałam... Ale nie pójdę... Matki trzeba słuchać.

Kazio (*wracając z pośpiechem woła*):
Pani tu idzie! Pani tu idzie!

Wszystkie dzieci powstając.
Pani tu idzie? czy to byź może!

K a z i o.

Doprawdy, już jest przy Sobkowéy chacie.

A n k a.

O dla Boga! gdzież ja się skryję. (Anka i wszystkie dzieci tulą się i kryją jak mogą; młodsze chowają się za siostrę. Różia płakać zaczyna, Anka tuli ją.)

SCENA VII.

Ciż sami, Pani, Wóyt, Małgorzata.

P a n i (*wchodząc*).

Ach! iakaż to po tych wsiach nędza! Gdzie spojrzeć to nieszczęśliwi! Cóż tu dzieci! Ale czegoż się mnie boicie? i ty mała, czemu płaczysz? ja wam nic złego nie zrobię. Ja bardzo kocham dzieci. Któreż to z was chore?

M a ł g o r z a t a (*biorąc Stasia za rękę*).

Ten chłopiec, Jaśnie Wielmożna Pani. (*Do Stasia*). Ukłońże się.

P a n i.

Cóż ci to moje dziecię? Twoja Matka mówiła mi że cię głowa bardzo boli, że nic ieś

nie możesz. Zażyj tych kropli — pomogą ci pewno. Czy masz gorączkę? (*Bierze Stasia za rękę i daie mu flaszeczkę z kroplami*).

S t a ś (*nie chcąc wziąć lekarstwa*).

Nie! ja żadnych kropli nie zażyję.

(*Przez ten czas, Róża ciągle płacze, Matka ją wynosi do chaty*).

P a n i (*zdziwiona*).

Jak to nie zażyjesz? a to dla czego?

S t a ś.

Niech mi się Wielmożna Pani nie pyta, bo ja nie mogę powiedzieć.

P a n i.

Nie możesz? a to ty widzę uparty, mój chłopczyku.

S t a ś.

Doprawdy, żem ja nie uparty.

P a n i.

Spytam się twoihey Matki, ona mi powie dla czego lekarstwa zażyć nie możesz?

S t a ś *przełęczniony*.

O! niech Wielmożna Pani nic Matce nie mówi; niech ona o tém nic nie wie!

P a n i.

A to szczególne dziecko! Ja muszę twoihey Matce powiedzieć; ty musisz te krople zażyć

bo inacząy nie ozdrowieiesz; i to bardzo brzydko dla takiego dużego chłopca nie słuchać. (*Do wracaiący włąśnie Małgorzaty*). Moia kobięto, rozsądz tę sprawę.

S t a ś (*z pośpiechem kłaniając ię się do nóg mówi po cichu*):

O! iuż wszystko Wielmożný Pani powiem ale niech Matka i nikt nie, słyszy.

P a n i zdziwiona.

Cóż to z tego będzie? (*do Małgorzaty*). Oddalcie się wszyscy, ia muszę sama z tym chłopczykiem pomówić.

(*Wszyscy się oddalają w głąb Teatru okazując znaki zadziwienia*).

SCENA VIII.

P a n i, S t a ś.

Już teraz iesteśmy sami, mów więc prędko, moje dziecię.

S t a ś (*skrobiąc się w głowę*).

Kiedy się bardzo sromam.

P a n i.

Nie wstydz się: choćbyś co złego zrobił skoro się przyznasz, darowaném ci to bydź może. Mów tylko.

S t a ś, przerywanym głosem.

Oto zapewne Wielmożna Pani już wie, że jesteśmy bardzo biedni, oyciec nam umarł.. Matka wszystko poprzedawała, nic niema, dzień i noc pracuje, żeby nas wyżywić... Ledwie na dzień bochenek chleba zarobić może; po małym kawałku każdemu z nas się dostaie, a sama dla siebie nic prawie nie zostawia. Serce mnie boli kiedy widzę, że moim braciom i siostram tak bardzo iść się chce... Ja najstarszy, zdrowszym od nich, wolę nie iść ażeby oni i Matka więcéy mieli...

P a n i rozczulona.

O kochane dziecię! iakież to dobre serce!.. Takaż to była twoja choroba?

S t a ś.

Taka. Ja z umysłu powiedziałem żem chory, bom niewiedział iakby to inaczéy nie chcieć iść. (Sciskając Panią za nogi). Ale niech Wielmożna Pani nie Matce o tém nie mówi.

P a n i.

Czy chce ci się iść, moje dziecię?

S t a ś.

Okrutnie. Aż mnie głód wewnątrz ściska, i jużem osłabł... Gorzéy mi iednak przykro było, kiedy na ich głód patrzyłem.

P a n i.

Ale tybyś umarł wkrótce, gdybyś tak długo nic nie iadł.

S t a ś.

Ja to sobie już myślałem. I cóż? Matka miałaby mniey iedném dzieckiem do żywienia; a iakbym był u Boga, tobym go prosił żeby dał chleba, Matce, siostróm i bracióm, i mnieby tam dobrze u Niego było.

P a n i, *głaszcząc go po twarzy.*

Nie, kochane dziecię, ty nie umrzesz tak prędko. Bóg Oyciec nas wszystkich nagrodzi twoie dobre serce. Opatrzność iego tu mnie sprowadziła! o! iakżem rada temu szczęśliwemu zdarzeniu!... Poczciwa kobięto, przychodź. *(Małgorzata się zbliża i wszyscy za nią).*

SCENA IX.

Wszyscy i Wóyt, *który zdziwiony stawą w kącie.*

P a n i.

Szczęśliwa Matko! ciesz się! masz cnotliwego syna. Staś nie chory, pdał słabość, żeby tobie i rodzeństwu nie uymować chleba.

M a ł g o r z a t a.

Czyż to bydź może! mój Stasienko i zdrow i dobry... Ale niech ci Bóg nie pamięta iakieś mnie nastraszył. Patrzcie no! wéy! zkađ mu to do głowy przyszło. Poczekay no chłopcze, *(Niby mu grozi)*.

S t a ś.

Czy doprawdy się gniewacie, Matko.

M a ł g o r z a t a.

Jużcić bym chciała, ale Bóg widzi nie mogę; takem szczęśliwa!

P i a n i.

O i ia szczęśliwa, rozrzewniona iestem. Jakiż to skarb bydź możliwym, módz dobrze czynić. Teraz już widzę dla czego Bóg na ubóstwo pozwolił; rachował na serca bogatych; chciał dać złotu wartość prawdziwą. Poczciwa kobieto! już ci nigdy ani bięda ani głód nie dokuczy; będziesz miała i krowy, i kury i gęsi, i wszystko na czém ci zbywa. Panie Wóycie, zapisz WCPan w rachunkach: że ta kobięta nic nie winna Dworowi; już ia to biorę na siebie. *(Małgorzata i dzieci ściskają ię nogi)*.

Wóyt *kłaniając się pokornie.*

Dobrze, Jaśnie Wielmożna Pani.

P a n i.

Spodziewam się, że mój mąż chętnie te moje obietnice i rozkazy potwierdzi; spodziewam się nawet że mi i większy nie odmówi łaski. Jaby m nychętniey tę wieś na mieszkanie stała obrała, tu dom wygodny, ogród piękny, a nadewszystko tu Bóg błogosławić musi, kiedy tak dobre są dzieci.

W s z y ś c y.

O zapewne niech Państwo tu mieszkać raczą.

P a n i.

Stanie się to zapewne. A teraz, kochane dzieci, idźcie za mną do pałacu. Będziecie mieli dobry obiad. Day mi rękę Stasiu; sama ci ieść dać muszę, sama cię zaprowadzę do mojego męża, i opowiem mu iak masz *dobre serce.*

III.

ANEKDOTY PRAWDZIWE O DZIE- CIACH.

MARYNIA T.

Maryni T. przyszła raz myśl dziwna, że iéy koniecznie różgą dać trzeba; prosiła o to usilnie Babuni swoiéy, u której się chowała. »Babuniu mówiła, obiy mnie, bo widzę, że będę złą.« Babunia wzbraniała się długo, ale nareszcie uległa temu szczególnemu żądaniu. Kazała się położyć dziewczynce, a według staropolskiego zwyczaju, wziąwszy tęgą różgę, zabrała się do dania pięciu plag: w imie Oyca—i Syna—i Ducha—świątego—Amen. Na pierwszą plagę *w imie Oyca*, Marynia nie pisnęła; na drugą *i Syna*, nic; ale iak przyszło do *Ducha* dziewczyna zerwała się równemi nogami i wołać z całych sił zaczęła: „Babuniu nie biy więcéy, bo będę gorsza.“

JEDYNAK WYMOWNY.

Chłopczyk pięcioletni; syn iedyny u Matki zbyt tkliwéy, od kolebki nawykł do téy myśli, że on sam ieden celem iéy pieśzczot i kochania bydz winien. Zdarzyło się raz, iż Matka będąc wraz z nim w ogrodzie publicznym, obaczywszy obce dziecię nadzwyczaj miłe, nie mogła się oprzeć chęci uściskania go serdecznie. Postrzegł to syn iéy bawiący się opodal, przybiegł z pośpiechem z oczyma gniewem zaiskrzonymi, a nadstawiając Matce zapłonione zazdrością policzki, wyrzekł z przyciskiem: „Mamo! odkochay mnie zaraz! odcałuy!” — Ten nowy sposób wyrzeczenia chęci wynagrodzenia krzywdy, iaką zdawało mu się że poniosł, czyż nie iest wymowny? ale gniew ten czyż nie dowodzi, iak często niebezpiecznie dla dziecięcia bydz iedynakiem i nadewszystko kochanym? — Chłopczyk ten umarł w młodym wieku; może gwałtowność uczuć skróciła dni iego? bo każda namiętność, zwłaszcza téż zazdrość „wysusza kości i życie [przerywa.“

PRZEDNIA ODPOWIEDŹ.

Małéy i dowcipnéy Antolce G. kilka dni temu zwinięto ładne włoski w papiloty, i tak się bawiła w oycą pokoju. W tém przyszedł ieden z przyjaciół domu, a widząc takie przygotowanie do stroiu, powiedział z uśmiechem: „Pięknje Antolku, to post, a tak wiele masz papilotów!“ — Cóż to szkodzi, odpowiedziała natychmiast dziewczynka, papiloty nie z mięsem.“

IV.

WYIĄTKI DO UKSZTAŁCENIA SERCA I STYLU SŁUŻYĆ MOGĄCE.

W I A Z A N I E P O L K I.

NIEKTÓRE WYIĄTKI Z DZIEŁ XIĘDZA PIOTRA SKARGI.

KAZANIE PRZYGODNE.

Jako wojny są potrzebne, z dobrymi sposobami, i chrześcianom nie zakazane, zwłaszcza na Turki.

Bóg ludowi swojemu zostawił część nieprzyjaciół, aby się do wojny przyuczali i zwyczaili.

X. Sędziow. 3.

Acz bardzo wiele złego wojny przynoszą, jednak potrzebne są, chrześciańskiemu zakonowi nie przeciwnie; gotować się i sposobne do niej poddane mieć, każdemu panu i R. P. chrześciańskię potrzebnio i pożyteczno iest. Jako porządmemu urzędowi godzi się zabiać, męzoboyce, rozbóyniki, tak pospolite nieprzyia-

sciele, którzy nie jednego ale wszystkie gubić i zniszczyć chcą, godzi się karać i onym odęmować. Jako uczynił Abraham, Moyżesz, Jozue, Gedeon, Barak, Jefe, Samson, Dawid i inni dobrzy królowie, którzy wiele bitew zwodzili. W zakonie starym nie tylko pochwalone są wojny, ale iako ie wieść i do nich się przyuczać, wypisał Moyżesz. Pierwszy chrześcijańskiego zakonu kaznodzieia, Jan Chrzciciel, żołnierzom porzucić rycerskiego stanu nie kazał, ale sprawiedliwie żyć i na żołdzie swoim przedstawać. I Zbawiciel stanu tego nie ganił; a co o cichości i łaskawości uczniów swoich nauczał, aby odpuszczali krzywdy i znosili je, to się na urzędy nie ściąga, iedno na osoby szczególne, aby się nie mścili, pomstę Bogu i urzędowi jego polecali, a byli gotowi więcéy znosić krzywdy, gdy tego potrzeba. W zakonie nowym wiele żołnierzów, królów, wojennych czci kościół; na to się tylko bardzo oglądać mają żołnierze i panowie, aby wojna była sprawiedliwa. To niesprawiedliwa, którejby zwierzchny pan i najwyższy urząd nie podniósł i nie pochwalił; bo innym podległym pod zwierzchność zaczynać się wojny nie godzi; bronić

się każdemu godzi; ale naieźdźać tylo samym najwyższym urzędnikom własno iest. I to za słuszną przyczyną i krzywdą niewątpliwą i wielką. Bo dla małej i wątpliwéy krzywdy, takie zadawać szkody i utraty ludziom, iakie woyna przynosi, nie przystoi i bez wielkiego grzechu nie iest.

Jeśli wątpliwa przyczyna i nie wielka krzywda, pan zwierzchny bardzo grzeszy, który wojnę podnosi; ale poddani, którzy mu tego pomagają nie grzeszą; iako kat gdy ścina, nie winien choćby sędzia skazał niesprawiedliwie. Ten téż co podnosi wojnę, ma mieć umysł swój i koniec dobry; nie dla tego, aby rozszerzał państwo, moc i sławę pokazywał, ale aby ludziom pokóy uczynił. „Pokoiu zawdy pragnąć ma, wojnę z potrzeby podnosić, aby Bóg z potrzeby go wyrwał, a pokóy zachować; bo pokóy nie dla wojny iest, ale woyna dla pokoiu.” — Na koniec woyna ma być bez szkody niewinnych; aby żołnierze nikomu krzywdy nie czynili, mocą, zdradą, na majątności, na osobie; aby nie wydzielali, nie bili ubogich i kmieci, kupców i innych, którzy im się odiać nie mogą. Aby nie potwarzali zysku swego:

szukając, a mówiąc: »To zdrajca, ten się z nieprzyjacioły porozumiał!» dla zdarcia i złupienia. Aby nie wyciągali od nikogo czego nie winni im dawać i nie mówili: »Nie płacą nam.» A co ubogi winien, iż pan abo Król nie płaci? u niego się upominaj, a niewinnego nie łup.—Powinni też na wojnie szanować dzieci, niewiasty i starych, którzy siły do boju nie mają. Nie mogą ich bez grzechu w zwycięstwie zabijać, chyba poymać, bo takie okrucieństwo sam rozum gani, i Bóg go zakazuje.

To tak oznajmiwszy, pobudzamy się do modlitwy i nadziei uproszenia, sprawiedliwości téj wojny, na którą się pan nasz zhetmany i żołnierstwem swoim wyprawił. Kiedy na Turki i Tatary, żadna potrzebniejsza, sprawiedliwsza wojna bydl nie może, którą sama niewola wyciąga. Bo Turcy iako rozbóynicy, chrześcijańskie państwa i królestwa wydarli, one posiadają i dziś wydzielają, żadnego na nie prawa nie mając; tylo swoiéy chciwości panowania, łakomstwa na cudze dobra używają i roskoszy w niezbóžnym ich zakonie dopuszczonych nabywają. A posiadłszy wilczą mocą bez żadnego rozumu, nie patrząc kto winny kto

niewinny, Boskie i ludzkie prawa gwałca, a swoje sprosne, dzikie, bezbożności pełne, stawia i gruntuia. Boga chrześcijańskiego iako poganie bluźnią, z Chrystusa urągają się i Boską mu cześć odéymuia, przekładają nad Boga i Pana naszego, Machometa, rozbóycę, zdraycę, cudzołożnika, fałszerza, który z pogańskiéy nauki i żydowskiéy zgmatawwszy zakon swój, dopuszczeniem wszelkiéy swéy woli, nieczystości, wielożeństwa, mieczem, onych plotek i fałszów bronić kazał. Rozmowy wszelkiéy i pytania o prawdzie i o wierze zbawienney zakazuiąc, niebo i cielesne roskoszy po śmierci obiecał, tym którzy naywięcéy chrześcian pomordowali, a Machometa i iego zakon wynaszali. Przetoż za nabożeństwo sobie mają, chrześciany zabijać, dobra i państwa ich wydzierać i posiadać, wiarę chrześcijańską na machomecką obracać, kościoły i zakon chrześcijański gubić. Na takie nie tylo obronną wojnę wieść, ale z umysłu ją podnosić, wielka iest sprawiedliwość u Boga, o którego cześć i chwałę czyni się przysługa, wielkie ku wszystkiemu chrześcijaństwu zachowanie, wielka sła-

wa i mężstwa świata pożytecznego, wielka ku
cnocie pobożności i sprawiedliwości miłość. —
A chociaż ie Bóg dopuszcza, aby chrześciań-
skie grzechy czeladki swéy i dzieci swoich ka-
rał; chociaż wola iego jest, abyśmy tak byli
poniżeni i tym biczem iego do pokuty i po-
prawy pociągnięni; iednak wola nie jest iego,
abyśmy się im nie bronili. Owszem chce Bóg
abyśmy ie bili gdy możemy; bo nie myśli nas
dobry oyciec przez nie gubić, ale przykarać
tyło. A karania jest dość, gdy się na nie go-
tuie, gdy na téy przeciw im wojnie, maie-
tność i zdrowie tracim, i wiele innéy woien-
néy nędzy cierpiąc, do upamiętania się przy-
wodziem. Co gdybyśmy z serca a wszyscy
chrześcianie uczynili, prędkobyśmy zwoiowali
ie i wygubić mogli.

Niechże nas sprawiedliwość téy wojny do
gorętszéy modlitwy pobudza i nadzieię wielką
do zwycięztwa uczyni. Wołaymy na Boga:
»Tyś iest sędzia wszystkiego świata, ty widzisz
»iż niesłusznie powstają i miecą się na chwałę
»twoię, na wielkie imię i moc twoię. Ci ro-
»bacy któreś stworzył, śmieją się z ciebie na-
»grawać Boga prawego. Twoię chwałę i słu-

»żbę wyniszczyć chce ten nieprzyjaciel; iakoż
»mu przepuścisz? a nie odéymiesz się téy zie-
»mi i błotu twemu, téy siekierze twoiéy któ-
»ra mówi: Ja sama sobą władnę, ja zabiję,
»mnie się nikt nie odéymie.” „A nie czuie, iż
»w ręku iest u ciebie i władnąć sama sobą nie
»może. Widzisz sprawiedliwy Panie, iakie nam
»wyznawcom twoim krzywdy czynią. Myślny
»im nic nie winni, bez przyczyny naszych bra-
»ci zabijają i męczą, w niewolą swoię prowa-
»dzą, iedno dla tego iż mocniéysi są. A któż
»słabego z ręki możniéyszego okrutnika wyba-
»wi? komuż odbieżany od ludzi i porzucony
»zostaie? Tobie, sędzio ubogich. Tobie zоста-
»wiony iest nędznik bez pomocy stękaiaący. Do
»ciebie woła, tyś sam obrona iego. Zasiądźże
»stolicę twoię sprawiedliwą, a uczynź za nie-
»winnemi wyrok! Woyny są twoim sądem; na
»nich pokazuiesz kto ma sprawiedliwszą? tego
»rękę, rozum i siłę podnośisz, i daiesz aby go-
»rę miał i wygrał; aby sprawiedliwość złości
»i okrucieństwu nie ustępowała, aby cnota nie
»gasta, aby dobry większą miał chęć do pobo-
»żności, kiedy ty, Panie, płacisz wedle zasługi
»każdego. Nie patrz teraz na grzechy chrze-

»ścian twoich, ale na złość i niesprawiedliwość
»nieprzyjaciół naszych, przeciw którym, spra-
»wiedliwy Sędzio, wyrok prędko i nieodmien-
»ny uczyn, a my ie za mocą sądową twoją
»rozproszym. Polecą jako proch od wiatru, zni-
»kną iak воск od ognia; poznaią Boską moc
»twoię, iż nie masz Boga nad cię Boże nasz.
»A my wiecznie za wyrok twój i sąd sprawie-
»dliwy, służyć tobie, dziękować, chwalić cię,
»i w przykazaniach twoich chodzić będziemy.”

V.

WIADOMOŚCI MOGĄCE BYDŹ MATKOM PRZYDATNE!

WYPISY Z SŁAWNIÉYSZYCH DZIEŁ FRANCUZKICH.

O PIERWOTNÉM WYCHOWANIU.

(*Ciąg dalszy*).

• Dzieci słyszą mowę od urodzenia swego; mó-
wiemy do nich, nim nas rozumieć mogą; śpie-

wamy im, nim co to głos, znają. Nie ma w tém nic złego; wreszcie nie podobną byłoby rzeczą, chcieć ten zwyczaj wykorzenić. Jednak bardzo radzę matkom, nie trzymać wielomowny piastunki. To nieustanne gadanie szkodliwy wpływ na umysł dziecięcia mieć może. Jeśli ię słucha z uwagą, męczy się; jeśli nie słucha, wkłada się w niewagę. — Jestem także niezmiernie zatém, żeby się starać ile możności, aby dziecię od początku nie słyszało brzydkiey, prostackiey mowy, złego wymawiania, mylnego wystowienia się. Jak we wszystkiém tak i w tém przykład naywięcéy działa; nieustanne przestrzeganie, poprawianie wymowy dziecięcia, uciążliwe iest i nudne; a przerywając co chwila słowa iego, może mu nawet odjąć płynność w wyrażaniu myśli. Tamten zaś sposób miłszy i pewniéyszy. Staray się sama mówić czysto, dobitnie i gładko; zapytana przez dziecię o rzecz iaką, nazwiy ią zawsze wyrazem właściwym; a zobaczysz iak wczéśnie mowa dziecięcia twego czystą będzie. Kiedy Matka dobrze iaki ięzyk posiada i chętnie nim mówi, pewno i dzieciom tego przymiotu udzieli. Dla tego téż tak ważną i pożądaną iest rzeczą,

ażebym kobiety gruntownie znały język oyczysty i nim z dziećmi mówiły; a która Matka przeciwnie czyni, winna iest *obrazy oyczyzny*, nagany i kary godna, i nie uwierzę iéy, choćby mówiła że kray swój kocha.

Nie przymuszay dziecięcia twego do zawczesnéy mowy, ani téż nie uważay zbytecznie na każde przemówienie iego; nie zgaduy z półsłówką co powiedzieć chciało; nie domyslay się tego, co nie wyrzekło ieszcze. Dziecię nawyka tym sposobem do wymowy nie wyraźnéy, nie zupełnéy; a co gorsza do uważania siebie samego, za bardzo znaczącą istotę; będzie chciał i późniéy, żeby go zawsze każdy słuchał z pilnością, żeby uprzedzał żądania iego, nim ie wynurzyć raczy. Naylepiéy w tym razie iak w wielu innych, dzieci samym sobie zostawiać; one idąc za przyrodzonym dowcipem, dobiorą sobie może lepiéy od grammatyków, naprzód łatwych głosek, a potém stopniowo do coraz trudniéyszych przystępować zaczną; dopóki wszystkiego wymówić nie będą zdolne. — Z tego zgadywania, domysłania się i wmawiania w dzieci słów, których nie rozu-

mieią, wiele złego wynika. Naprzód, często bez własnéj wiedzy i zamiaru, wyrzekną coś na pozór głębokiego i dowcipnego; wszyscy się nad niemi dziwią i oni nad sobą; powtóre, szkodliwa to rzecz mieć w głowie więcéj słów niż myśli; ztąd powstaie mniemana wielu nauka, którą każdy za taką uznaie, prócz tego, który się nią szczyci; ztąd rodzą się ciemne, fałszywe rozumowania, ów czczy blask dowcipu. — Zdaie mi się, że lud prosty dla tego ma zwykłe więcéj od nas rozsądku, że słownik iego nie tak obszerny. Co zna, to nazywa; u niego wyraz iest dla rzeczy; trzeba więc podobnie z dziećmi postępować; — niech to mówią, co rozumieią.

Wielki to iest, miły, nie do opisu, postęp w dziecięciu, kiedy już mówi; wtedy dopiero moralna, wyższa objawia się w niém istota. Już zaraz mniéj płacze; powiedzieć może co mu dolega. — Wtenczas téż już nieco surowszym bydz dla niego należy, nie pozwalać wcale na niepotrzebne płacze i krzyki. Nayczęściéj wszystkie takowe dzieci nałogi, (jak już wspomnianém było), winą są otaczających ie; kiedy dzie-

cię wie, że na każdy krzyk iego matka i piastunka przybiegną strwożone, że go całować i pieścić będą, i dadzą mu co na utulenie, krzycząc i płakać za najmniejszym zdarzeniem nie omieszka. Zaniecha tego skoro tak postępować będziesz: Dziecię twoje upadnie, zrobi sobie jaką małą szkodę i krzyczy; nie biegnij do niego, poczekaj choć chwilkę, a przynajmniej idź zwolna; już złe się stało, odwrócić go nie podobna; cały twój pośpiech przełęknie jeszcze więcej dziecko, które zwyczajnie w takim razie więcej z przełknięcia niżli z bólu krzyczy. Niech widzi w tobie w każdym zdarzeniu zimną krew, inężtwo, rozsądną powolność, a samo tych przymiotów nabierze. Zamiast pieszczot, cukierków i cacek na utulenie dziecka za szkodę jaką sobie zrobi, łaiane bydy by powinno; skutek to zwyczajnie iego nieuwagi i nieposłuszeństwa. — Jednak wie każdy, że dziecko nayposłuszniejsze, wzrość bez przypadków nie może; im troskliwiej strzeżone, tém ich więcej miéwać zwykło; im rozsądniej dozorowane, tém mniej; przecież ochronić go od nich zupełnie niepodobna. Jest w tém i

dobra strona; tym sposobem poznać cierpienie, a umieć cierpieć, jest bardzo ważną dla człowieka nauką.

Wolność rozsądna zostawiona dziecięciu, wprawianie aby iak nayrychleý bez pomocy drugich w wielu rzeczach obéýszyć się mogło, oszczędzi mu wiele szkód i przypadków, i rozwinię prędko jego zdolności. Wcześniéý od innych dzieci pozna siebie, pozna różnicę złego i dobrego, zacznie czuć że żyje, i cieszyć się z życia. Szanuj w dzieciach twoich ten wiek niewinności i swobody; ułatwiaj im ich zabawy; nie przytępiaj wesołości. Zbyteczną pamięcią na dalsze lata dziecięcia twego, nie chciéý już w niém widzieć doyrzałego osoby; nie wymagaj nadto od niego, nie męcz, nie dręcz; my często daleko więcéý od dzieci niżli od samych siebie żądamy, więcéý im zadaiemy przykrości, umartwień. Twoje dzieci niech będą szczęśliwe; ieżli Bóg ich w młodym wieku powoła, niech nie umrą, nie używszy życia; ieżli żyć mają, niech im te lata błogą pamięć do późnéý starości zostawią. Ale nie mieszajmy wolności z swawolą, dziecięcia szczęśliwego z

pieszczoném; wielka tu zachodzi różnica. — Między dziećmi iak między ludźmi, gdzie swawola panuje, tam późniéy czy prędzéy niewola przyiść musi, a tam szczęście i swoboda, gdzie swawoli wędzidło, a prawym uczuciom rozsądna wolność iest daną.

WRÓBLE.

BAYKA PRZEZ A. G.

Siedząc w stadzie wróble szare
Wiodły uczoną rozmowę;
W każdym stworzeniu znalazły przywarę:
Dudek, mówiły, ma czubatą głowę;
Kraska mniema że nadobna;
Wilga doprawdy do drezda podobna;
Gołąb to niby skromny, a wysoko leci:
Kukawka drugim nurzuca swe dzieci;
Gil tam usiada gdzie największe drzewa;
Szczygieł rozumie że on pięknie śpiewa;
Pliszka to czysty waryat, iak nastanie dzionek
Lata po wszystkich kątach zadartszy ogonek.
A Panowiez to wróble sami byli iacy,
Że wszystkich brali na nicę?
Byli to sobie próżniacy,
Co iedli chłopków pszenicę.

SPIS RZECZY

W TYM NUMERZE ZAWARTYCH.

Stronnica

1 Koleie życia, powieść historyczna . . .	194
2 Dobre serce Stasia, Komedyka . . .	210
3 Marynia T. . .	130
4 Jedynak wymowny } Anekdoty . . .	231
5 Przednia odpowiedź } . . .	232
6 <i>Wiązanie Polki</i> . Wyjątki z dzieł Piotra Skargi kazanie przygodne . . .	233
7 O pierwotném wychowaniu . . .	240
8 Wróble, bayka przez A. G. . . .	247
